

Marcin Jamiołkowski

OKUP KRWI



Marcin Jamiołkowski "Czarny Roman"

MAT

Nota od wydawcy: poniższy tekst jest bezpośrednio powiązany z „Okupem Krwi” Marcina Jamiołkowskiego

Jestem uwięziony.

Kiedyś żyłem z łamania prawa, pieniądze płynęły szerokim strumieniem, przychodziły, odchodziły i wracały pomnożone. Rolki z forszą. Rulony. Bałem się tylko dwóch rzeczy – aresztowania i utraty tego wszystkiego. A kiedy to nastąpiło, nawet nic nie zauważyłem. Może przez chwilę,.. Mój szmal zniknął, a ja zostałem zamknięty. Zamknięty we własnej głowie.

Być może szaleństwo skradało się ku mnie wcześniej małymi krokami, wsączało się do umysłu, kiedy słuchałem niekończącego się szelestu banknotów, wpychało się w podświadomość, gdy liczyłem złotówki i dolary. Kotwiczyło się w mózgu jak tasemiec, ale ostrożnie, finezyjnie, bym nic nie spostrzegł. Koledzy cinkciarze pewnie kiedyś mówili, że przeginam, żebym na siebie uważał. Ale kto by słuchał takiego pieprzenia, kiedy leje się zimna wódka i przytulają się chętne dziewczyny?

- Mam pełny piter i złoty sikor - odpowiadałem im bełkotliwie. - Nic więcej nie chcę i niczego nie żałuję. „Żeneregretuję!” - dodawałem „po francusku” ze śmiechem, kiedy głośno protestowali.

A kiedy szaleństwo rozpostarło czarne skrzydła i owinęło mnie szczelnie, było już za późno. Zostałem okradziony, straciłem wszystko i w jednej chwili - pstryk! Nie było mnie.

Był On.

Nawet nie pamiętam, jak się wcześniej nazywałem. Zepchnął mnie w głąb siebie, zamknął, zamurował i ubezpieł. Pozostało mi jedynie obserwowanie. On nawet nie zdaje sobie sprawy z mojego istnienia, nie wie, że patrzymy razem, że wspólnie czujemy. On w ogóle mało rozumie z otaczającego nas świata.

Ale teraz to On rządzi.

Za każdym razem kiedy zaczynamy nowy dzień, budząc się w norze, którą on nazywa w myślach swoim domem, rozpaczam nad wszystkim, co utraciłem.

A kiedy staje w łazience przed lustrem i zdarzy mu się spojrzeć na swoje odbicie, chcę zamknąć oczy i krzyknąć.

Ale nie mogę.

Niegdyś golił się gładko, dokładnie, teraz zaprzestał zupełnie tego rytuału, tak jakby coraz bardziej puszczały więzi łączące go z dawnym życiem, moim życiem. Zapuścił paskudną brodę, zaniedbany siwo-czarny wiecheć. Przestał się czesać.

Jeszcze niedawno ubierał nas w czarny garnitur, zakładał skórzane rękawiczki i kapelusz w tym samym kolorze, dodający nam odrobinę szyku. Mijani na ulicach ludzie mogli odnieść wrażenie, że spotykają osobę starszą, nieco tylko zaniedbaną, ale ciągle starającą się trzymać fason.

Sprawdzało się, dopóki nie zaczął mówić.

Nie zauważyłem, kiedy porzucił ten styl. Czasami, ostatnio coraz częściej, zapadałem w dziwną pustkę, niebył, tak jakby On spychał mnie w nieistnienie. Nie wiem czy robił to świadomie, chyba jednak nie, byłem dla niego niewiele znaczącym brzęczeniem w głowie. Coraz mniej słyszalnym, ledwo dającym się zauważyć. A może po prostu to ja sam, mający coraz mniej wspólnego z rzeczywistością, rozpływałem się, roztopiałem. Znikałem.

On przestał się ubierać w garnitur. Teraz nosił na głowie coś, co od biedy można było nazwać kapeluszem, bardziej przypominało wojskowy hełm czy czapkę Rumcajsa. Przynajmniej był czarny. Nie wiem, skąd brał ciuchy. W ubiegłym roku, w lecie, chodził ubrany w różowe ogrodniczki. I różowy kapelusz, z szerokim rondem. Kapelusz był jego symbolem.

Czasem, idąc po Warszawie, zatrzymywał się przy przypadkowo napotkanej osobie. Czasem sam był zaczepiany. Wygłaszał wtedy bezsensowne tyrady, puste, ociekające przekleństwami przemówienia,

które rozmówcy przyjmowali ze śmiechem, niekiedy z wyraźną obawą.

Nikt nie lubi wariatów.

Różnie go nazywali, ale ja sam nie pamiętam już swojego imienia. Może Jan, może Wiesław. On mawia o sobie „Nieśmiertelny”.

Czasem zachodziliśmy do kawiarni i siadaliśmy przy stoliku, gapiąc się w witrynę i na ludzi przechodzących za oknem.

Czasem szliśmy na długi spacer.

Kiedyś, w upalny dzień, On ułożył się na wznak na chodniku i grzał w promieniach słońca, nie niepokojony przez nikogo. Nawet patrol strażnicy miejskiej nie zwracały na nas uwagi. Staliśmy się elementem miasta, częścią jego folkloru. Miejską legendą. Patrzyli na nas, wytykali palcami, śmiali się.

Kiedy tak leżał, słuchałem jego myśli. Przypominały kłęb niespójnych obrazów, fragmentów jeszcze mojego życia, które sam ledwo pamiętałem, zmieszanych z wyczytanymi w gazetach wydarzeniami. Wszystko łączyło się w bezkształtną pulpę informacji, zbitą masę słów, które wylażyły z Niego podczas przypadkowej rozmowy. Czasem wieszczyl śmierć wszystkim przechodniom. Ale niekiedy mówił z sensem, wspominał o zdrowym odżywianiu albo częstował orzechami. Nie wiem, skąd brał to wszystko. Ostatnio zasypiam na zbyt długo.

Tak jak wtedy, na tym rozgrzanym chodniku.

Kiedy się zbudziłem, była wiosna.

On zwykle nie oddalał się od Śródmieścia. Najczęściej trzymał się Marszałkowskiej, Alei Jerolimskich, często chadzał Nowym Światem na Stare Miasto.

Tym razem z trudem zorientowałem się, gdzie jesteśmy. To na pewno był park. Ale nie Ogród Saski, do którego czasem zaglądaliśmy. Nie tym razem. Dopiero gdy wynurzyliśmy się spomiędzy drzew i gdy ujrzałem pomnik Chopina, zasłuchanego w szum wierzby, zrozumiałem, że byliśmy w Łazienkach Królewskich.

Było pięknie, zielono. Poczułem, jak On bierze głęboki oddech i przez chwilę także ja cieszyłem się tym oddechem. Zbliżał się wieczór.

Tuż obok usłyszałem przeciągły, długi, trąbiący krzyk, który poniósł się w głąb parku. Uklękliśmy. Przed nami stał paw. Długi, złożony ogon rozciągał się za nim jak tren za panną młodą. Spoglądał w naszą stronę, wyciągając błękitną szyję, czub na głowie drgał przy każdym poruszeniu, a grzbiet połyskiwał szmaragdowo w promieniach zachodzącego słońca.

- Po co mnie tu sprowadziłeś? - dobiegł mnie Jego głos. Mój głos. Mam wrażenie, że zmienił się przez lata, niegdyś nie był tak chropawy i niski, tak nieprzyjemny.

Paw przekręcił głowę, obserwując nas czujnie jednym okiem. Otworzył dziób i znowu wydał z siebie przenikliwy okrzyk, od którego odruchowo wciągnęliśmy głowę w ramiona.

On roześmiał się.

- Jesteśmy nieśmiertelni - powiedział. - Nic nam się nie stanie.

Ptak zrobił dwa kroki i tytnął paciorkowatymi oczami. Otworzył i bezgłośnie zamknął na powrót dziób.

Miałem wrażenie, że rozmawiają. Że porozumiewają się w sposób, który mi umyka. Znowu poczułem Jego myśli i zalał mnie potok obrazów. Zobaczyłem krew i szkło, miecz, dzwon i monokl, zobaczyłem ludzi o pokiereszowanych twarzach i ogień trawiący miasto.

- Niepotrzebna nam magia, by żyć - usłyszałem.

Paw z szumem rozłożył ogon. Był tak blisko, że poczuliśmy delikatny podmuch na twarzy. Kolorowy wachlarz uniósł się do pionu i nastroszył.

Ptak krzyknął znowu.

Opuściliśmy głowę na trawę.

- Skoro ona tak każe - powiedział On.

Paw poruszył się i odwrócił. Odszedł z dumnie podniesioną głową, nie zaszczycając nas nawet spojrzeniem. Na trawie pozostało długie pióro z pięknym granatowym okiem.

Chwyciliśmy je i schowaliśmy do wewnętrznej kieszeni marynarki. Zauważyłem, że dziś ubrał nas

znowu na czarno. W prążkowany garnitur.

Potem On odwrócił się i wszystko zgasło.

Ocknąłem się na ławce, na Chmielnej. Było bardzo wcześnie, noc już niemal ustąpiła porankowi. Obok nas siedział młody, najwyżej trzydziestoletni mężczyzna o ciemnych włosach i zmęczonym spojrzeniu. Na jego czole i policzku zobaczyłem drobne skaleczenia. Miał posiniaczoną twarz, a jedno ucho było wyraźnie napuchnięte.

- Masz. Zjedz ze mną - powiedział On.

Wyciągnął w stronę mężczyzny reklamówkę. We wzroku nieznajomego pojawiła się nieufność.

- To maca - dodał On uspokajająco. - Zdrowa.

Mężczyzna wyjął kawałek placka z reklamówki i wsunął go do ust.

- Czujesz tę noc? - usłyszałem.

Sam już nie wiem, kto wypowiedział te słowa.

Ale na mnie ta noc działa. Coś przepływa przez miasto i rozpełza się po nim, rozplywa po jego tkance i wsącza w każdy zakątek. Coś, co sprawia, że powoli zanikam. Jego głowę znowu zalewają chaotyczne obrazy i mam ochotę odpłynąć, usnąć. Nie mogę już tak dłużej. Nie chcę być tylko widzem, chcę coś zrobić, poruszyć ręką, przecież to moja ręka! Moja, nie jego! Denerwuję się, jednocześnie staję się coraz spokojniejszy. Wydaje mi się, że jeśli zasnę, to już nigdy więcej się nie obudzę, nie spojrzę na świat. Odejdę na zawsze.

Chcę krzyknąć!

Ale On mnie nie słyszy, sięga za pazuchę i wydobywa pawie pióro, które otrzymaliśmy w Łazienkach. Wręcza je nieznajomemu.

- Jego właściciel też jest nieśmiertelny - oznajmia.

Dodaje coś jeszcze, ale znowu gubię się w odmętach Jego wizji. Coś każe mi współczuć temu mężczyźnie, wiem, że spadnie na niego coś, czego się nie spodziewa.

Widzę kobietę o zielonych oczach i chłopaka w okularach.

Widzę piegowatego rudzielca.

Widzę ogień.

Chciałbym znowu zasnąć.

Niedaleko nas zatrzymuje się kilkoro młodych ludzi. Dwóch chłopaków i dziewczyna. Śmieją się i krzyczą coś w naszą stronę.

- Śmieję się, śmieję, aniołeczku - mówi On do dziewczyny. - Śmieję się, bo umrzesz dokładnie za dwa lata, o czternastej.

Może to sprawia Jego chrapliwy głos, być może szalone spojrzenie, ale uśmiech dziewczyny znika, a jej ładną twarz wykrzywia strach. Jakby to sama noc ścisnęła jej gardło szponami przerażenia.

On ogląda się.

Mężczyzny już nie ma.

On mruga i w tej krótkiej chwili wiem, że z nas dwóch tylko On jeszcze zobaczy następny poranek. Między opuszczeniem a podniesieniem naszych powiek czas spowalnia i prawie się zatrzymuje. Nie dla nas. Dla mnie. Nasze oczy otwierają się, ale niczego już nie widzę. Żrenice kurczą się pod wpływem światła z okolicznych witryn, ale to już nie są nasze żrenice, tylko Jego. Tuż przed zaśnięciem czuję ostatni podmuch powietrza na nie swojej brodzie.

Wydaje mi się, że z oddali dobiega krzyk pawia.